

auto przypomina mu karetkę pogotowia, w której ludzie przewożeni są do miejsc wiecznego smutku: szpitali, domów dla obłąkanych. Zdarza się, że w karetce takiej ludzie umierają i ci nieraz są szczęśliwsi od tych, którzy dotarli do miejsc przeznaczenia.

— Wyjdziemy za miasto — tłumaczy Gustaw — zobaczycie państwo jaką piękną realność i śliczną willę kupilem przy rogate. — Nachyla się swobodnie ku Prybowskiemu i mówi:

— Chętnie odstąpiłbym państwu na znośnych warunkach. Sądzę, że za kilka tygodni moglibyśmy rachunek wyrównać.

Mówiąc to uśmiecha się słodko, znacząco. Ale pan Antoni spuszcza głowę w dół i milczy. Oczy pani Katarzyny płoną ogniem wdzięczności.

Przejeżdżka trwała dobrą godzinę. Próżno wysilał się Gustaw i Prybowska, pan Antoni był smutny, przygnębiony i milczący.

— Pan Antoni oblicza — roześmiał się Gustaw — wiele może kosztować ta willa. Proszę się nie martwić, wszystko będzie zrobione.

Prybowski myślał o szatanie kusicielu, córce, synu, żonie i urzędzie. Ożywił się dopiero przy kolacji, po wypiciu kilkunastu wódek, które hojnie raczył przed kolacją Gustaw. Tony orkiestry, śmiechy, gwar życia kawiarni, wyrwał go z marliwoży; wspomnienia młodych lat ożyły i poruszyły krew.

— Szkoda, żeśmy nie wzięli Helenki! — zauważyła matka — moja córka bardzo lubi muzykę!

— Pojadę po nią — Gustaw odrzekł.

— Niel Niel — zaprotestował Prybowski — jest już późno, zapewne już śpi. Zresztą nie jestem za tem, żeby dzieci w restauracji, czy kawiarni, w nocnych porach przebywały.

Prybowski poczał rozmyślać o córce. Ze wszystkich, najwięcej ją kochał. Była pocziwem, dobrem dzieckiem.

— Co ona teraz robi? — rozważa.

Ale Helenka nie spała. Gdy rodzice wyjechali automobilem pozostała z dziadusiem, który wdubawszy okruszyny tytoniu, nałożył do ulubionej fajeczki, pociągnął dymy i poszedł do kuchni.

Helenka została sama. Słyszała gdy nieznajoma lokatorka przyszła do mieszkania i otworzyła własnym kluczem drzwi do przedpokoju. Jakis mężczyzna razem z nią wszedł. Śmiejąc się coś wesołego opowiadał. Głos jego metaliczny, czysty, dzwonił jej w uszach. Mimo podwójnych drzwi, urywane słowa dobiegały i drażniły jej słuch. Czytała jakiś romans francuski, lichą polszczyzną tłumaczony, anegdota pieprzne Mirbeau'a.

Życie, było dla niej tajemnicą. Chowana była w nieświadomości jego przejawów.

Helenka mimo, że nikt jej nie mówił, wie co to za kobieta i świadoma tego, że to coś z tajemnicy życia tam w pokoju sublokatorki się dzieje. Ciekawość jej jest podrażniona.

Oplera się jakiejś nieznanej woli, która kroki jej kieruje do przedpokoju.

Zagłada przez dziurkę od klucza, U stóp sublokatorki kłęczy nieznany mężczyzna; w tejże chwili słyszy kroki dziadziusia, który z kuchni przechodzi do pokoju. Sirwożona jak sarenka umyka i ukrywa się za parawanem; przesładowa ją, że dziadus szuka ją pocznie, ma zamiar doskoczyć do drzwi, udawać, że ktoś dzwonił i ona odmyka drzwi, jednakże kroki dziadziusia dotarły do przedpokoju i wstrzymały pierwotny jej zamiar.

Dziadus przyłożył ucho do drzwi sublokatorki i słuchał chichotu i wesołej rozmowy, młodej pary.

Młodzieniec śmieje się serdecznie. Dziadus przeciera ucho i w chwili gdy przykłada oko do dziurki od klucza, Helenka cichutko wysuwa się na paluszkach. W progu przedpokoju dzwonek wstrzymuje ją; to rodzice wracają z kawiarni. Dziadus zmieszany otwiera drzwi, Helenka bezradnie staje w progu.

— Czuwacie? Nie spicie? — pyta pani Prybowska!

— Tak! Tak — szepcze dziadus.

— Tak! Tak — szepcze Helenka i coła się do wnętrza pokoju!

Prybowski chwije się na nogach. W rękach trzyma jakieś zawiniątko papierzane, które kładzie na stole i usiada na krześle.

Jest kompletnie pijany. Również i Prybowska zlekka kołysze się przy zdejściu zakiecia.

— Trzysta tysięcy — mówi.

Żona odprawia dziadusia i córkę do pokoju. W tejże chwili przybył Władzio.

— Dziadus? — mówi ze śmiechem do dziadusia — gdzie dziadus był. Także i Helka gdzieś się ukryła. Jestem od pół godziny w domu, nikogo nie było.

Mówiąc to uśmiecha się szelmowsko do dziadka, patrzy z podejrzliwością na Helenkę. Matka wypycha ich do pokoju, nie zwracając uwagi na łobuzerstwa syna.

— Trzysta tysięcy — powtarza Prybowski.

— Zaraz jutro pójdziemy na kupno! Kupi się żakiet dla Helenki, buciki Władziowi. Tobie trzeba ubrania i bielizny. Przedewszystkiem mój kochany, trzeba jutro wyrzucić lokatorkę. Dość tego podłego życia.

— Trzysta tysięcy — powtarza Prybowski — musimy wyrzucić lokatorkę. Ja takich w mieszkaniu mojem nie dłużej zniosę — podnosi głos Prybowski.

— Ależ naturalnie — zapewnia żona.

— Trzysta tysięcy — zarobiłem na to, żeby oczyścić się z upodlenia, rozumiesz.

— Ależ rozumiem!

— Tak z upodlenia. Zarobiłem — głos mu się urywa, zastanawia się głęboko nad ostatnio wypowiedzianym słowem.

— Właściwie nie zarobiłem — mówi do żony, pochylony nad banknotami — ukradłem, sprzedałem duszę diabłu, właściwie pieniądze ten wyciągnięty z brudów ma wyprać brudy — chwyla garść papierów w dłonie i wznosi je w kierunku żony — masz to twoje! Sprzedałem się dla was! Chcąc się oczyścić z życia popełniłem łotrństwo. Cóż mi z tego, że przechodzę z jednego upodlenia do drugiego?

Żona rozbiera go i kładzie do łóżka. Mimo zmęczenia, przepicia nie może zasnąć, rozmyśla i trzeźwieje.

Oplatało go życia znienacka, zdradziecko i przycisnęło głazem olbrzymim, który go dusi. Niewidzialna siła podirzymuje ciężar, ale każdej chwili może rozmiąć. Jest atómem, plazmą zamkniętą w szklance, skazaną na zatracenie. Kto mi to uczynił? Życie, no tak to przyczyna! Nad przepaść przywiódł mnie, ten szatan, ta gangrena Gustaw. Poprostu zaraził go gangreną. Ba zatruł wszystkich. Żonę, dzieci, dziadusia, jego. W organizmie społecznym, narodowym oni wszyscy staną się plazmą gangreny. Trzeba uciąć zarażone miejsca, wypalić plazmy, odłączyć trudem iknętych. — To zrobić, to powinni uczynić z nim. Właściwie — rozmyśla — moja żona winna.

Febra trzęsie nim, febra strachu. Spogląda na żonę przez lekko otwarte powieki. Rozebrawszy się, kładzie się do łóżka.

W tej chwili płonie ku niej wściekła nienawiścią rannego, osaczonego zwierzęcia. Zraniony ciężko zatrutym pociskiem zaszył się w kącie, osaczony wyczerpany ze zmęczenia, z upływu krwi udaje zabitego. Oto wkradają się cicho sprawy jego męki i cychają na ostateczną zagładę. Ostatnim wysiłkiem chce zemścić się, chce zagryść wrogów. Ręce jego parcie siłą wewnętrzną nienawiści bezwiednie wyciągają się, wydłużają.

W tejże chwili dzwonek przedpokoju gwałtownie dzwoni. To sublokatorka wraca zapomniawszy zabrać kluczy.

Prybowska klnąc pod nosem, zrywa się, wdziewa szlafrok i wychodzi otworzyć drzwi. Obdarza sublokatorkę szeptem wyzwick, otrzymuje odpowiedź dziesięciokrotnie. Kłóca się, wrzeszcze rozchodzą gniewnie, trzaskając drzwiami.

— Zajście trwało dobrą chwilę. Gdy wróciła do sypialni mąż spał już w najlepsze z wyciągniętymi ku niej rękoma, z zacisniętymi pięściami.

Miała ochotę przebudzić go, ale czując się senną i wyczerpaną wsunęła się w koldrę rozmyślając o pieniądzach, jutrzejszych sprawunkach i przyszłym życiu.

Rankiem Prybowski szedł do biura z głową ociężałą i miał wrażenie, że przeszedł straszny sen, na którego wspomnienie kurcz przechodził ciało.

— „Zło” wchodzi samo w dłonie człowieka, rozmyśla w urzędzie, pelniąc codziennie służbę. Sześć zajęty służbowo poza biurem zostawił mi kilkanaście wolnych blankietów z własnoręcznym podpisem. To nad czem wysilał mózg, układał postępane plany, ślizgnęło się w jego ręce, pokryte zaufaniem wieloletniej, uczciwej służby. Czy może zdradzić zaufanie? Czy powinien zdradzić. Niel Nie wypełni blankietu, odrzuci wszystko precz.

Wychodząc z biura zabiera resztę wolnych

blankietów, chowa do kieszeni. Nie wypełni ich. Bierze ich z sobą, jutro odda w całości szefowi. Mógłby ktoś przywłaszczyć sobie. Dawniej nie przypuszczał, żeby te skrawki papieru mogły mieć tak wysoką cenę. Poznawszy wartość, chce je dobrze uchronić.

Wyszedł wcześniej ze służby. Musi się trochę przejść, zastanowić co dalej czynić, zebrać dalszą energię do walki, do zerwania ze wszystkim co go dawi. Głód, nędra nie przeraża go. Musi zerwać z Gustawem, z sublokatorami, nawet z żoną i rodziną. Niech raczej zginą z nim z nędzy, niżeliby miał staczać się w kanał, pociągając ich wszystkich za sobą.

Przechodzi obok wystaw sklepowych, bezwiednie zatrzymuje się przed magazynem z bronią.

— Doskonale — postanawia — kupię rewolwer, zagrozę żonie, Gustawowi, że raczej odbiorę sobie życie niżli popełnię to, co żądają.

— W każdej walce, należy nie tylko wyżyć całą energię, spryt, ale mieć broń do walki. Gustaw ma pieniądze, ja będę miał broń — rozważa.

Właściwie nie ma pogo się spieszyć do domu. Postanawia iść do restauracji, przeczekać czas aż do zamknięcia sklepów, ażeby nie iść z żoną kupować planowanych rzeczy.

Spoilkali go znajomi z przed laty. Po kilku kieliszkach zbrałani idą do gabinetu.

Prybowski pije na umór, zapieć chce wspomnienia, straszną chwilę jaką przeżył ostatniego wieczora, nabrać chce odwagi do życia i walki. Ma ochotę biesiadnikom otworzyć duszę i serce, wypowiedzieć się, szukać rady i pocieszenia, gdy w tej chwili zjawia się Gustaw. Szukał go automobilem od szeregu godzin, w ważnej wadomej sprawie.

— Nie idę! — opiera się Prybowski.

— Ależ panie Antoni, żona czeka, ja mam ważne sprawy również z panem załatwić.

— Jutro — odpowiada szorstko — dziś mój dzień. Panowie — krzyczy do biesiadników — dzisiaj moje odrodzenie.

— Urodziny — poprawia jeden z biesiadników.

— Nie, odrodzenie — krzyczy podniesionym głosem — panie Gustawie, prawda odrodzenie — mówiąc to wyletając patrzą w oczy Gustawowi.

— Rozpocznijmy panie Gustawie nowe, inne życie — śmieje się nerwowo, tak że zwraca uwagę wszystkich.

— O tak! Nowe życie — potwierdza Gustaw, przypuszczając, że Prybowski jest całkiem zdecydowany do jego planu. Ale panie Antoni pojedziemy do domu.

— Jedźmy! — odpowiada.

Gustaw płaci rachunek, żegna się z kolegami i wchodzi do auta.

Prybowski wtula się w róg auta, usiłuje zasnąć.

— Panie Antoni! Czy wszystko w porządku?

— He?

— Czy ma pan potrzebne dokumenty?

— Mam, odpowiada Prybowski i rękami szuka po kieszeniach pieniędzy otrzymanych wczoraj od Gustawa. Wyciągnawszy z kieszeni zwój banknotów razem z jakimiś papierami rzuca Gustawowi.

— Co to, pieniądze? — pyta nerwowo Gustaw.

— Tak pieniądze — weź i idź precz! Ty szatanie, kusicielu, gangreno!

Pomiędzy ponadziemi Gustaw spostrzega dokumenty.

— Oddaj! — krzyczy Prybowski.

Gustaw chowa pospiesznie papiery, usiłując wręczyć pieniądze z powrotem.

Prybowski wyciąga rewolwer z kieszeni.

— Słuchaj ja się zastrzelę! Ja nie mogę! Ja nie chcę! Zastrzelę się!

— Zastrzel się! — śmieje się i szydzi Gustaw. Śmiech szyderczy oprzytamnia Prybowskiego.

— Oddaj!

Gustaw się śmieje i szeptem:

— Jutro pomówimy.

Ręka Prybowskiego uzbrojona rewolwerem wyciąga się bezwiednie, błyskawicznie w stronę Gustawa. Strzał rewolwerowy zatrzymuje auto, wyraca rewolwer z ręki drżącego na pół przytomnego Prybowskiego. Za chwilę rusza auto w dalszą drogę, wioząc pod silną eskortą Prybowskiego i ciało Gustawa. Ręka prawa spoczęła na Prybowskim, niewidzialny miecz sprawiedliwości zawisł nad nim.

— Zbrodnię odkupiłem zbrodnią — szeptem ci cho do sędziego — sądzicie mnie przeto i karzcie.

K O N I E C .

